

Maria J. Wilczek
Redaktor naczelny *Listu do Pani*
Prezes Polskiego Związku Kobiet Katolickich

Boża Opatrzność w moim życiu...

Patrząc z odległej już perspektywy na swoje losy, losy jednej z wielu zwykłych kobiet, widzę jak wiele było w nich znaków Bożego prowadzenia, tych, które zdołałam dostrzec, bo przecież Boża Opatrzność działała nieustannie, moje świadectwo, zawierać by musiało zbyt wiele wątków, obejmować właściwie całe moje życie. Opowiem więc jedynie o niektórych przykładach.

Nie wiem już kiedy, ale z wielką mocą dotarła do mnie prawda, że Boża Opatrzność czuwała nade mną znacznie wcześniej, aniżeli przyszłam na świat. Bo przecież Bogu zawdzięczam to, że urodziłam się nie gdzie indziej, a na tej ziemi, w rodzinie głęboko religijnych i prawych ludzi. To rodzice wprowadzili mnie w życie religijne, włączyli w życie Kościoła, który nigdy, pomimo różnej w przeszłości intensywności przeżywanej wiary, nie przestał być moją miłością. To oni oddali mnie do znakomitej szkoły sióstr nazaretanek, w której nie patrząc na reżimowe zalecenia w czasach stalinowskich, realizowany był program wychowania patriotycznego i religijnego.

Przez wszystkie lata mojego dzieciństwa prowadziły mnie słowa psalmu:

*Kto się w opiekę podda Panu swemu, a całym sercem szczerze ufa Jemu,
śmiało rzecz może, mam obrońcę Boga, nie przyjdzie na mnie żadna straszna
trwoga...*

Przed ołtarzykiem Matki Bożej Częstochowskiej, który był w naszej rodzinie od pokoleń, odmawiało go każdego wieczora, podczas okupacji, a i później również, nieraz i kilkanaście osób. Bo dom moich rodziców miał zawsze drzwi szeroko otwarte dla rodziny, przyjaciół, ale i dla dalszych znajomych potrzebujących pomocy i serdecznego przygarnięcia.

Słowa psalmu ulatywały ku niebu, pogłębiając wiarę w Bożą Opatrzność (wszyscy modlący się w naszym domu przetrwali wojnę), ale w przypadku mojej matki i mnie, cudownie uratowanych, ta wiara graniczyła wręcz z pewnością, że jesteśmy nieustannie w rękach miłosiernego Boga. I że nigdy nie dość dziękczynienia za nasze życie, zachowane przez Bożą Opatrzność, za wstawiennictwem mojej Patronki – Matki Bożej Dobrej Rady.

Bożej Opatrzności zawdzięczam też i to, że urodziłam się w tej, a nie w innej epoce, że mogłam przeżywać razem z innymi gorzkie, trudne dla kraju chwile, ale i dożyć czasów Solidarności, odzyskania przez Polskę wolności, że mogłam żyć w czasie pontyfikatu wielkiego Papieża Jana Pawła II, którego nauczanie, z którym spotkania podczas pielgrzymek, i nie tylko, były tak znaczącymi dla mojego życia duchowego wydarzeniami. Przeżycie misterium Jego modlitwy przed i w czasie Mszy św., którą odprawiał w swojej kaplicy na Watykanie, stało się nieomal moim prywatnym dowodem na istnienie Boga.

Tego dnia cud zdarzył się dwa razy

Chociaż minęło już wiele lat, w rodzinnej historii dzień 8 września 1939 roku będzie miał zawsze swoje szczególne miejsce.

Tego dnia w Janowie Lubelskim pogoda była słoneczna. Od kilku dni trwała wojna. Ludzie zadawali sobie pytania: *Co będzie z Polską? Co będzie za chwilę z ich życiem, z ich rodziną, z ich planami i marzeniami?* Miasteczko pełne było uciekinierów z terenów już objętych działaniami wojennymi. Tego dnia mieszkańcy Janowa, wypełniali sanktuarium Matki Boskiej Łaskawej i otaczający je dziedziniec. Ósmy września jest dniem szczególnego tu święta. I moja matka, pełna czci dla Patronki tego miejsca, stała wśród tłumu ze mną na ręku. Właśnie kończyła się uroczysta suma. Kościół wypełniał teraz potężny śpiew, który niósł się daleko poza jego bramy. *Boże coś Polskę przez tak liczne wieki otaczał blaskiem potęgi i chwały...* Wszyscy śpiewali z pobożnością, ale i trwogą, jakby przeczuwając to, co ma wkrótce nadejść, w Bogu tylko pokładając nadzieję. Kiedy po skończonej Mszy św. wysypali się gromadnie przed kościół, gdzieś z oddali słychać było głuchy, jednostajny, nasilający się dźwięk, jakby nadciągającej burzy. Dopiero po chwili stało się jasne – to nalot! Wszyscy zaczęli w popłochu uciekać, chaotycznie poszukiwać schronienia... I moja matka chwyciła mnie na ręce, biegnąc w przerażeniu ku pobliskiemu skwerowi, gdzie wykopane rowy były już pełne ludzi. Zaczęła schodzić w dół, ale silny, wewnętrzny imperatyw kazał jej zatrzymać się w połowie pochyłości. Właśnie wtedy zaczęły spadać pierwsze bomby. Pochylona nade mną, kulącą się u jej nóg, zaciskając w ręce medalion z Matką Boską Częstochowską, z którym nie rozstaje się nigdy, powtarzała – „Matko ratuj! Matko ratuj!”. Nagle rozległ się przerażający huk, ogarnęła ją ciemność, zasypały zwały zsuwającej się ziemi.

Po chwili, kiedy wróciła jej świadomość – poczuła przygniatający ją ciężar, duszność boleśnie rozrywającą piersi... Próbowała poruszyć głowę. O dziwo, udało się, choć z trudem, wydobyć ją ponad poziom ziemi (gdyby zeszła niżej, byłoby to już niemożliwe). Zaczęła krzyczeć, rozpaczliwie krzyczeć, powtarzając te same słowa: *Moje dziecko, moje dziecko, ratujcie moje dziecko...* Przybiegli jacyś chłopcy z łopatami, zaczęli usuwać ziemię. W końcu wydobyli mnie, bezwładną, zakrwawioną, nie dającą znaku życia. Moja matka unieruchomiona nadal krzyczała: *Ratujcie moje dziecko!* Jakaś nieznajoma chwyciła mnie i biegła wzdłuż okopów, szukając wody, aby mnie ocucić. Wkoło popłoch, krzyki, lamenty... A matkę jeszcze długo wykopywali spod wałów ziemi. W końcu uwolniona szukała mnie, a odnajdując, chciała wracać do domu siostry. Ale tego domu już nie było. Płonął zbombardowany podczas kolejnego nalotu.

Ktoś życzliwy dał jej znać, że ma dotrzeć do leśniczówki, gdzie moja ciotka już czekała z dziećmi. Wskazał prostą drogę, radził, by z niej nie zbaczać i nie wchodzić w gęste, niebezpieczne, janowskie lasy. Dźwigając mnie na rękach matka szła wskazaną ścieżką, ale zaraz potem, słysząc zbliżający się, kolejny nalot uciekła w las. Już po chwili straciła zupełnie orientację. Wszystkie ścieżki wydawały jej się podobne do siebie.

Przez wiele godzin usiłowała znaleźć drogę. Zapadła głęboka noc. Moja matka zaczęła się żarliwie modlić: *Boże ratuj! Matko, Matko Boska nie opuszczaj nas! Czy zostałyśmy uratowane po to, by zginąć teraz w tej głuszy?* I właśnie wtedy, zupełnie niespodziewanie usłyszała z oddali trzask łamanych gałęzi i czyjeś zbliżające się kroki. Po chwili zaczęła wyławiać dźwięki pojedynczych słów z rozmowy mężczyzny i kobiety. Zerwała się więc, a chociaż nie mogła wydobyć z siebie głosu, ostatkiem sił przedarła się przez zagajnik ku idącym. Oni zatrzymali się zaskoczeni. Kobieta, zwracając się do swego towarzysza, odezwała się: *To ta pani wydobyta dziś w południe spod ziemi po bombardowaniu i jej córeczka, którą udało mi się jakoś docucić. Proszę, niech je pan doprowadzi do leśniczówki. Ja sama już jakoś dojdę do miasteczka.*

W rękach Bożej Opatrzności

Dwa lata po tych przejmujących wydarzeniach, już po powrocie do Kielc zachorowałam bardzo ciężko. Wysoka gorączka, matka wezwała zaufanego lekarza, który dał leki, uspokoił, że to angina i obiecał przyjść nazajutrz. Zapadł wieczór. Matka, czuwająca przy moim łóżku, pełna wielkiego niepokoju, modliła się żarliwie. I znów, pod wpływem wewnętrznego imperatywu, ona zazwyczaj nieśmiała, czasem nieporadna, podjęła decyzję, by nie czekać do rana.

Wezwała felczera, który miał wykonać analizę. Wynik analizy wskazuje, że to nie angina, a dyfteryt, felczer przed północą, nie patrząc na godzinę policyjną, przybiegł z surowicą, którą trzeba było podać natychmiast. Rano byłoby już za późno. Przybywający następnego dnia lekarz, przejęty swoją niedostateczną czujnością, ale i podziwem dla decyzji matki, stwierdził bez wahania: *Pani uratowała dziecko.* Ale moja matka wiedziała, że to Boża Opatrzność, która natchnęła ją właściwą myślą, a felczera odwagą, by ratować dziecko.

I pięć lat później... Był rok 1945. Ostatnie jednostki wojsk niemieckich wycofywały się z Kielc przed napierającymi oddziałami armii radzieckiej. Jeden z niemieckich uciekinierów próbował jeszcze podjąć beznadziejną walkę. Wjechał tankietką w bramę naszego domu na ulicy Słowackiego i z tego miejsca zaczął strzelać w kierunku stojących kilka ulic dalej czołgów radzieckich. Namierzenie jego pozycji przez Rosjan było tylko kwestią minut. A w piwnicy domu stali stłoczeni, przerażeni mieszkańcy i ludzie z sąsiedztwa. Wydawało się, że nie ma ratunku, ale moja matka wraz z siostrą rozpoczęła głośną modlitwę, do której dołączyli wszyscy. Po chwili kanonada ucichła, tankietka wycofała się z naszej bramy i odjechała w niewiadomym kierunku. Zostaliśmy uratowani.

Kiedy moja matka wracała do tych wspomnień, była zawsze nimi do głębi poruszona. *Pomyśl – mówiła – nawet tatuś wrócił. A mógł zginąć o ten samej porze, co my w Janowie. Jego nam też cudem uratowała.* Była święcie przekonana, że zawdzięczamy to Matce Boskiej. *A cuda – pamiętaj – zdarzają się częściej niż nam się wydaje. Czasem i życia nie starczy, by za nie dziękować.* Myślę, że Jej życia wystarczyło. Żyła osiemdziesiąt osiem lat, a były to lata wielkiej pobożności – modlitwy i nieustannych dobrych uczynków.

„Wszystkie troski przerzucie na Niego...”

*Opatrzność Boża oznacza zrządzania, przez które Bóg z miłością i mądrością prowadzi wszystkie stworzenia do ich ostatecznego celu. Teraz, gdy czas się nachylił, tak jasna wydaje mi się ta definicja Katechizmu Kościoła Katolickiego, ale przed laty, kiedy zaczynałam moje życie zawodowe i rodzinne nie byłam człowiekiem aż tak głębokiego zawierzenia. Wielokrotnie stawiałam Bogu pytanie: Po co te ścieżki, które trzeba porzucić, chociaż wprowadzała na nie nadzieja, że wiodą ku tej najlepszej drodze? Opornie docierała do mnie ta gdzieś głęboko w sercu odzywająca się, nie przekładalna wprost na słowa, pewność: *Córko, zrozumiesz to później. A jednak zakorzenione w tak odległym czasie przeświadczenie, że trwamy pod skrzydłami Bożej Opatrzności pozostało żywe. Czy także w chwilach, gdy trzeba było przyjąć ból, cierpienie, ciężar, jak się niekiedy okazywało, pozornej przegranej? Także w takich chwilach. Za dar Opatrzności uznaję bowiem towarzyszącą mi przez lata świadomość, że umiejętność przeżywania poczucia winy jest w efekcie budująca. Nie Boga więc trzeba obwiniać za własne klęski, ale przede wszystkim samą siebie, czasem szeroko rozumiane, niesprzyjające nam, okoliczności. Boże Objawienie pomaga nam zrozumieć – przypomniawszy Jan Paweł II – że Bóg nie chce cierpienia, ale weszło ono na świat na skutek grzechu człowieka (por. Rdz 3,16-19). Bóg je dopuszcza dla zbawienia człowieka, wydobywając dobro ze zła. Kiedy patrzę wstecz na swoje życie, mogę stwierdzić bez wahania, że z każdego z moich błędów, bólów, dramatów, Bóg wyprowadzał dobro. Czynił to także w życiu wielu znanych mi ludzi. Zawsze w takich sytuacjach upewniam się o skuteczności zalecenia św. Piotra: wszystkie troski przerzucie na Niego, gdyż Jemu zależy na was (1P 5,7).**

Współpraca z Księdzem Pasierbem

Boża Opatrzność w moim życiu to także wspaniali ludzie, których spotykałam na różnych etapach drogi. To oni kształtowali mnie swoim słowem, przykładem – moi nauczyciele, wychowawcy, katecheci, przyjaciele, bliscy... To oni wprowadzali mnie na pewnym etapie ich i mojego życia w swój świat, aby mój mógł stać się szerszy.

Jednym z najważniejszych przewodników na mojej drodze stał się ks. Janusz St. Pasierb, o którym tak pięknie napisał w swym wspomnieniu Piotr Wojciechowski: *Było w tym człowieku tyle rozmaitych cnót, talentów, zamiłowań, że tylko Boża pomysłowość mogła to wszystko logicznie i harmonijnie połączyć w jednej osobie. Ten spędzający godziny i dni w bibliotekach szperacz, historyk sztuki sakralnej, erudyta i koneser, był zarazem wspaniałym kaznodzieją i rekolekcjonistą. Ten autor wierszy drążących tajemnice śmierci i przemijania był jednocześnie pełnym humoru entuzjastą życia towarzyskiego, smakoszem, pływakiem. Był Europejczykiem znającym muzea całego kontynentu, wytrawnym uczestnikiem kongresów i seminariów, a jednocześnie miłośnikiem i znawcą własnej „małej Ojczyzny”, tych okolic między Lubawą, Tczewem, Pelplinem. Był samotnikiem szukającym ciszy, aby szlifować formę wierszy i budować myślowe konstrukcje swojej eseistyki i był kochającym młodzież wykładowcą, traktującym z przyjaźnią i powagą pierwszorzecznych kleryków, świetnie czującym się wśród młodych.*

Przez przeszło 11 lat, aż do śmierci ks. Pasierba, współpracowałam z nim, pomagając w pracach redakcyjnych, sekretarskich, jako kierowca... W tych latach pozwolił mi Pan zrozumieć, czym jest szansa bezinteresownej służby komuś, kto tak wielu prowadzi wzwyż. I dla mnie ten okres pomocy tak wybitnemu humaniście, poecie, człowiekowi bez reszty oddanemu Bogu, stał się moim najważniejszym uniwersytetem i najgłębszym otwarciem na sprawę Boże. To ksiądz Pasierb, z tak wielką powagą traktujący swoją kapłańską misję, mistrz tak wielu, bardziej niż ktokolwiek inny, otworzył mnie na Osobę Mistrza.

Po śmierci ks. Janusza St. Pasierba moim obowiązkiem, który traktuję jako szczególne wyróżnienie, stała się dbałość o spuściznę literacką Zmarłego, wydawanie wielu jego utworów. Wraz z gronem przyjaciół ks. Pasierba stworzyliśmy też, działającą od blisko 10 lat, Fundację im. ks. Janusza St. Pasierba, której zostałam prezesem, a która, min. promuje, wyrastającą z chrześcijańskich inspiracji, twórczość młodych poetów i historyków sztuki. Włączyłam się też w wiele innych działań, służących utrwaleniu pamięci o osobie i dziele ks. Pasierba, min. w zorganizowanie wędrującej wystawy „*Pasierbowa Europa Duchą*”, w opracowanie tomu 65 wspomnień o zmarłym poecie – „*Wstępujący na wzgórze*”...

Wysłuchane modlitwy

Tyle ich, dzięki Bożej szczodrości, było w moim życiu. Tylokrotnie pozwalał mi Pan dostrzec, z najgłębszą pokorą i wdzięcznością, że nie pozostawiał mnie bez odpowiedzi, bez pomocy, gdy wołałam do Niego z dna mojej bezsily, ale z wiarą w Jego moc. Jak wyprowadzał z sytuacji bardzo trudnych. Jak ratował także moich bliskich. I jak wysłuchał przed parunastu laty mojej, odmawianej codziennie modlitwy, której tekst otrzymałam niegdyś od mojego spowiednika, o pełne zaangażowanie w Boże sprawy. Posłusznie odmawiałam tę modlitwę, ale nie przywiązywałam nadmiernej wagi do jej skutków. A jednak... a jednak dzięki Bożej Opatrzności, może i za pośrednictwem tej wysłuchanej modlitwy, nadszedł taki etap mojego życia, w którym mogłam cały swój czas, energię poświęcić skromnej, a sędzę, że pożytecznej pracy w Kościele, spojrzeć z właściwej perspektywy na moje losy. Dostrzegłam, jak bardzo przydało się to wszystko, co udało się „zgrupować” w latach poprzednich: i studia na architekturze, a potem na dziennikarstwie, i praca w wydawnictwie „Arkady”, i doświadczenia rodzinne, macierzyńskie, i „pasierbowy uniwersytet”, umacniający życie wiarą i kulturą, i to, w co wyposażyli mnie inni, towarzyszący mojej drodze, przyjaciele. Przestałam pytać: *Panie, po co te ścieżki, które trzeba było porzucać...* I zaczął się czas pracy i – dziękczynienia. A im głębiej w wiek późny, tym głębiej odczuwam wdzięczność i dla Boga, i dla ludzi, nawet tych niechętnych mi, dzięki których opinii łatwiej mi spojrzeć na siebie we właściwym świetle.

W latach osiemdziesiątych zostałam poproszona do istniejącej wówczas Podkomisji Episkopatu ds. Duszpasterstwa Kobiet, a także do grupy siedmiu pań, z którymi stworzyłam Polski Związek Zwykłych Kobiet (przemianowany potem na Polski Związek Kobiet Katolickich - PZKK). Stał się on, po jej rozwiązaniu, kontynuatorem wielu inicjatyw Podkomisji. Zostałam wiceprezesem, a potem prezesem Związku, którą to funkcję pełnię do dziś. Dane mi było, wspólnie z paniami z PZKK, inicjować, organizować i współorganizować wiele konferencji, seminariów, kursów, pielgrzymek, koncertów poetycko-muzycznych, akcji charytatywnych; wygłaszać wiele prelekcji i wykładów, współpracować z różnymi organizacjami i stowarzyszeniami działającymi w Kościele, także ze Światową Unią Organizacji Kobiet Katolickich WUCWO.

PZKK stał się terenem mojego głębokiego zaangażowania w sprawy kobiet, rodzin, dzieci, także poprzez stworzone pismo „List do Pani”, którego zostałam redaktorem naczelnym. A jego powstanie, rozwój, trwanie to także dowód działania Bożej Opatrzności. Wobec zalewu pism kobiecych, bardziej czy mniej liberalnych (jest ich w tej chwili na rynku ponad 30), powstanie czasopisma dla kobiet, które chcą żyć wartościami chrześcijańskimi, wierne Bogu i Kościołowi, wydawało nam się sprawą niezwykle istotną. A więc porwałyśmy się na jego stworzenie, mając wiele entuzjazmu, w plecaku „buławę marszałkowską”, a w związkowej portmonetce niewielką, jak na takie zamierzenie, kwotę, ofiarowaną nam niegdyś przez Komitet Światowego Dnia Modlitwy Kobiet. A jednak i w tej sprawie zwierzyłyśmy Bożej Opatrzności.

I powstał miesięcznik - „List do Pani” (kontynuator wydawanego niegdyś przez Podkomisję „Listu”). Początkowo skromny, mający zaledwie 8 stron, bez ilustracji, wydawany na cienkim papierze, zaledwie w tysiącu egzemplarzach. I pierwszym znakiem Bożej opieki było całkowite sprzedanie nakładu, znalezienie nowych odbiorców... I tak przez kolejne lata pismo rozwijało się - z 8 stron w 1993 roku, do 44 - obecnie. Pismo zyskało kolorową okładkę, dobre zdjęcia, lepszy papier, szerszy krąg autorów, fotografików... Osiągnęło nakład ponad 5 tys. egzemplarzy. A wszystko dzięki Bożej opiece i mrówczej, gigantycznej pracy maleńkiego zespołu ludzi. Wielokrotnie wydawało się, że nie zdołamy pisma utrzymać. Brakowało pieniędzy na spłaty długu w drukarni, na honoraria autorskie, opłaty pocztowe... I jakoś w ostatniej chwili, o włos przed utratą nadziei, nagle znajdowała się pomoc, wychodziłyśmy z długów, pismo nadal się rozwijało.

Najważniejsze zadanie

Wdzięczna jestem Bożej Opatrzności i za to, że nie pozwala mi zapominać o najważniejszym zadaniu, także poprzez powracające do mnie wspomnienie. Kiedyś wchodząc do pokoju, zobaczyłam moją matkę, a miała wówczas już ponad 80 lat, jak siedząc na podłodze, próbuje zebrać rozsypane kartki starej książeczki do nabożeństwa, z którą nie rozstawała się nigdy.

Zmartwiona, próbowała je ułożyć, odnaleźć modlitwy odmawiane codziennie, min. modlitwy o dobrą śmierć, którą zresztą zdołała sobie wyprosić. Wypowiedziała wówczas zdanie znamienne, którego nigdy nie zapomnę: *Modlitwa to jest moje najważniejsze zadanie*. I w tym kontekście ze wzruszeniem wspominam szczególny dar, który otrzymał mój wnuk Filip.

Po uroczystości przyznania, przed kilku laty, Nagród Fundacji Dzieło Trzeciego Tysiąclecia, podeszłam z moim, ósmioletnim wówczas wnukiem do księdza biskupa Jana Chrapka, chcąc mu Filipa przedstawić. A ksiądz biskup wziął w swoją rękę drobną rączkę Filipa, uścisnął ją i z wielką powagą powiedział: *Filipie dziś zawieramy przyjaźń na całe życie. Już każdego dnia będę się za ciebie modlił, ale i ty pomódl się czasem za mnie*. To było kilka dni przed tragiczną, a niespodziewaną śmiercią księdza biskupa. I po latach, jestem pewna, że przyjaźń „zawarta na całe życie” trwa i że mój wnuk ma ważnego orędownika w niebie.

„Mam obrońcę Boga...”

A czy boję się przyszłości, skoro wkroczyłam w wiek późny? Sądzę, że to także dar Opatrzności, że lubię tę porę zmierzchu, czas, w którym tyle radości daje „światło w liściach na ukos i odcień powietrza”, każde spotkanie z bliskimi, każde wspomnienie blasków, ale i cieni życia, które mija, a w którym mogę jeszcze być aktywna.

I dziś, choć dojmująco dociera do mnie prawda, którą odkrył niegdyś już mój 6-letni syn Piotr, płacząc rzewnie pewnego wieczoru *-mamo ja płaczę, ponieważ wszyscy ludzie muszą umrzeć*; i dziś, świadoma jak wiele Bożej Opatrzności zawdzięczam, z ufnością patrzę w przyszłość. Wierzę, że Pan Bóg, dopuszczając trudne doświadczenia, da też i siły, by je godnie przyjąć. To o Nim, Bogu niezgłębionego miłosierdzia i źródła naszej nadziei, mówi w swej przypowieści ks. Janusz St. Pasierb.

Przypowieść o Ojcu

kiedy się starasz zapomnieć
pamięta

kiedy nie możesz zasnąć
czeka aż się obudzisz

kiedy nie myślisz wracać
wygląda ciebie

kiedy nie widzisz wyjścia
każe otwierać wrota

kiedy umierasz z głodu
poleca nakrywać stoły

kiedy się kulisz w łachmanie
wybiera dla ciebie szatę

gdy mówisz wstanę i pójdę
rusza naprzeciw

gdy trzesz oczy jak suche kamienie
płacze nad tobą

kiedy nie śmiesz wyciągnąć ręki
oplatają cię jego ramiona

gdy twój brat wypomni żeś odszedł
odpowie że właśnie wróciłeś